



Soboty i sobótki. ⁵⁾

Trzebaby najpierw ze stanowiska faktycznego poczynić pewne zastrzeżenia tak co do owej spowiedzi w wielką sobotę pod sobotami jak i co do święconego, ale to rzecz najzupełniej zbyteczna wobec tego, że przypuszczenie dra Tretera co do etymologicznego pochodzenia sobot nie może być nawet na seryo traktowane. Ze stanowiska filologicznego trzeba mianowicie z całym naciskiem zaznaczyć, że miejsce, w którym się coś odbywa, może być nazwane od tej czynności, jak wskazuje kazalnica, chrzcielnica, jadalnia, poczekalnia i t. d. lub od tego, gdzie kto przebywa, jak poucza prezbiterium, babiniec, chór, ale nigdy od tego, kiedy się to dzieje. Więc gdyby nawet nie raz do roku odbywano święcone pod sobotami w wielką

ZABYTKI BUDOWNICTWA DRZEWNEGO



OPUSZCZONA CERKIEWKA W CZORTKOWIE
NAD PRUTEM
fot. Adolf Meissner.

sobotę, ale co każdą sobotę, i gdyby tam spowiadano regularnie co każdą sobotę, to i tak podcienia nie nazywałyby się nigdy sobotami, jak kościół nie nazywa się niedziela, choć w nim regularnie co niedzielę odbywa się nabożeństwo. Jeżeli są miejscowości, noszące nazwy dni tygodnia, jak Środa, Czwartek, Piątek lub Sobota, to nie dlatego są one tak nazwane, że się tam coś w te dni działo, ale z innych powodów, z tych mianowicie, że wyrazy te oznaczały dawniej także co innego: środa, mianowicie oznacza środek czegoś, czwartek i piątek czwartą i piątą część np. pewnej posiadłości, a o sobocie powiemy niżej. Może naturalnie ktoś z kaprysu nazwać karczmę np. Rzymem, inną jaką ubi-



kacye Bismarkiem, inną Niedzielą lub Poniedziałkiem, ale o kaprysach nie mówimy tylko o naturalnym biegu rzeczy, nauką rzeczywistości stwierdzonym, a ten — powtarzamy to jeszcze raz — wskazuje, że soboty nasze (podcienia) nie mogą być nazwane od soboty (dnia). A z s o b r a n i e m jeszcze gorzej. Przedewszystkiem wiedzieć trzeba, że w tem brzmieniu nie jest to wyraz jakiś ogólnie słowiański, który byłby w tem brzmieniu zarazem polskim, lecz, że jest to wyraz specyficznie rosyjski, który po polsku brzmi „zebranie”, więc ktoby nasze soboty od rosyjskiego wyrazu s o b r a n i e chciał wywodzić, musiałby dowieść, żeśmy sobie przed wiekami od rosyjan ten wyraz przyswoili i z niego soboty zrobili albo gotowy już wyraz rosyjski s o b o t y od s o b r a n i a uformowany do siebie sprowadzili. W tym ostatnim wypadku trzeba by dowieść, że rosyjanie od wyrazu s o b r a n i e taki wyraz uformowali, używali go i nam go przekazali. Lecz rosyjanie takiego wyrazu, od sobrania uformowanego, nigdy, przenigdy nie mieli, ani myśmy takiego wyrazu, od s o b r a n i a uformowanego (gdyby nawet przyjąć, żeśmy mieli u siebie rosyjski wyraz s o b r a n i e) nigdy, przenigdy nie posiadali, albowiem gramatykom wiadomo na pewne, że od wyrazu s o b r a n i e formacyi s o b o t a czy s o b o t y absolutnie być nie może. Pomiedzy znawcami pod tym względem dwu zdań być nie może.

Co do sobótek (uroczystości palenia ognia), to sam niegdyś miałem przekonanie, że to nazwa identyczna z hebrajską sobotą, a tak sobie to wyobrażałem. Sobota, to święto żydowskie, w wyobrażeniu chrześcijan coś gorszego od chrześcijańskiego święta i niedzieli; więc gdy chodziło o nazwanie resztek pogańskiego obrzędu, jaki lud obchodził, nazwano to nie świątkami lecz s o b ó t k a m i, zupełnie tak jak dzisiaj jeszcze mówi się po niemiecku o nocnych zjazdach czarownic, że „obchodzą (feiern) swe (ihre) szabasy (Sabathe)”. Tak sobie to tłómaczyłem, bo wtedy nie wiedziałem jeszcze, że oprócz hebrajskiej soboty, która przywędrowała do nas dopiero z chrześcijaństwem, mieliśmy i swojski wyraz s o b o t a, przechowywany w nazwach miejscowych, które od hebrajskiej soboty absolutnie pochodzić nie mogą; że mieliśmy także imię osobowe s o b o t a, nie mające z hebrajską sobotą nic wspólnego; że wreszcie mamy s o b o t y „podcienia”, które od hebrajskiej soboty także nie pochodzą, gdyż językowo rzecz to niemożliwa (to mógłby przypuścić tylko filolog, który o sprawach nomenklatury słowiańskiej ma wielce niedostateczne pojęcie).

Wobec tych faktów musiałem swe dawne zapatrywanie na pochodzenie wyrazu s o b ó t k i

(palenie ognia) zmienić i następujące o tem wyrobić sobie zdanie.

Świątynia u rzymian zowie się, jak wiadomo, t e m p l u m, a wyraz ten, jak to już dawno wykazano a co ponownie stwierdził lingwista tej miary jak Brugmann,¹⁾ oznacza pierwotnie przestrzeń odcietą, odgranieczoną, odosobnioną, której przekraczać nie było wolno, miejsce święte objęte tą granicą, wreszcie budynek święty czyli świątynię w ściślejszem słowa znaczeniu. Pierwotnie przestrzeń ta to święty las, gaj, w którym rosły drzewa święte, poświęcone jakimś bóstwu, jak np. dęby święte w Dodonie, poświęcone Zeusowi. A lasami i gajami były pierwotnie świątynie nie tylko u greków i rzymian, ale i u ludów innego pochodzenia, jak przekonać się można choćby tylko z biblij, w której niejednokrotnie mowa o bałwochwaltwie, oddającym cześć świętym gajom, zwłaszcza położonym na wyżynach. „A naczynili sobie — czytamy w Biblii królowej Zofii z r. 1455 — s o c h (posągów) i ł u g ó w (lasów, gajów) na wszelkiem pagórku przewyższonym, a pod wszelkim drzewem różgowatem. I źgli (palili) tu palone obiady na ołtarzach podle obyczaju pogańskiego...”²⁾ „I niechali wszęch przykazań Pana Boga swego i czynili sobie dęte bogi, to jest dwa cielca, a c i e n i ó w (gajów) naczynili... i służyli Baal a poświęcali jemu syny swe a dziewczki swe przez ogień a wieszczby a gusły się przydzierżyli.”³⁾

A jak u greków i rzymian tak i u germanów i słowian świątynie pierwotne to lasy i gaje odgraniczone, w których rosną drzewa święte, a których przestępować nie wolno. Stwierdzać tego bliżej nie potrzebujemy, bo to rzecz znana powszechnie; mówiliśmy zresztą wyżej o gaju Prowego u słowian, a co do germanów, przypominamy tylko rozdział 9 z Germanii, w którym Tacyt powiada, że germanowie „nie lubią bogów zamykać wśród ścian”, to też świątyniami ich są „las i gaje”, których przestąpić niewolno. „Poświęcają gaje i lasy i nazywają imionami bogów to odosobnione i tajemnicze miejsce (secretum illud), które jedynie w swem uwielbieniu oglądają (quod sola reverentia vident)”⁴⁾. Tak tu jak i gdzieindziej (w Dial. de Oratore 12) las, gaj poświęcony bogom zowie Tacyt secretum, co wszyscy badacze, zaczawszy od Jakóba Grimma, objaśniają jako miejsce odosobnione, odgraniczone w znaczeniu t e m p l u m. Ponieważ las był

¹⁾ Brugmann. Grundriss der vergleichenden Grammatik der indogermanischen Sprachen II. 192.

²⁾ Wydanie A. Małeckiego str. 219 a.

³⁾ Tamże str. 219 b.

⁴⁾ Gdź wchodzić tam i rzeczywistemi oczyma oglądać nie można.



świętynią, więc nie byłoby nic dziwnego, gdyby wyraz, który oznacza las, oznaczał także świątynię. Jakoż u Niemców tak rzeczywiście jest: wyrazy *wih*, *haruc*, *paro* (=słow. *bór*) oznaczają w starej niemczyźnie „gaj, las” i zarazem „świętynię”¹⁾.

Ponieważ u Słowian te same zachodziły stosunki, więc godzi się zapytać, czy i u Słowian nie było wyrazu, któryby oznaczał las i świątynię, i dokładnie wyrażał to, co łacińskie wyrazy *templum* i *secretum*?

To, co samo dla siebie, to, co od otoczenia odgraniczone, odosobnione, odludne, a więc to, co *templum* i *secretum*, tudzież co łacińskie *solus* „sam jeden, samotny”, co *solitudo* „odosobnienie, puszcza”, co *secretum* również „odosobnienie i puszcza”:—to u Słowian wyrażało się za pomocą wyrazu *sob*, *soba*, *sobo* (dzisiaj brzmiałoby to *soby-a-e*, jak *słaby-a-e*, *syty-a-e*, pewny-a-e, zamiast dawniejszego *slab-a-o*, *syta-o*, *pewien-wna-wno*), który tkwi dotąd w zaimeku *sobą*, *sobie*. Więc o człowieku, który żyje sam dla siebie, nie chce o drugich wiedzieć, ani ich znać, mówiono, że to „człowiek *sob*” lub z domyslnikiem człowiek samo—*sob*, skąd potem rzeczownik *sob*, w formie zdrobniałej *sobek*, „człowiek żyjący sam dla siebie, egoista”. Stąd *sobą*, a z przyimkiem *o*: *o sobą*, nazywano potem każdy przedmiot ograniczony, mający swoją odrębną postać, swój własny kształt, wreszcie każdy kształt, każdą postać. Więc też wyraz *sobo* oznacza w starosłowiańszczyźnie „kształt, postać, substancję”; więc też i w staropolszczyźnie *o soba* oznacza każdą „postać” (nie tylko, jak dzisiaj, ludzką), a skutkiem tego mówi się po staropolsku nie tylko o osobie ludzkiej, ale także o osobie zboża, o osobie wody, o osobie chleba i wina.²⁾ To, co jest samo dla siebie, co wyodrębnione i oddzielone od otoczenia, to jest i *odosobnione*, stąd staropolski wyraz *osobie* oznacza „osobność”, a wyrażenie: „mówić z kimś na *osobiu*” znaczy tyle, co mówić na *osobności*; stąd też *osobny*, *osobliwy* znaczy pierwotnie „wyodrębniony, oddzielony”. Od wyrazu *sob* formowano także czasownik *sobić* (po czesku *sobiti*) „ku sobie gnać, zbierać sobie, jednać sobie”, skąd poszło imię *Sobisław*, później *Sobiesław* „jednający sobie sławę”, imię, które, jak inne imiona osobowe, najrozmaiej skracano: na *Sób*, skąd nazwy miejscowe, jak *Sobów*, *Sobowo*, *Sobowice*, *Sobowizna*; na *Soba*, skąd nazwy miej-

scowe, jak *Sobin*, na *Sobek*, skąd *Sobki*, *Sobków*, *Sobkowizna*; na *Sobik*, skąd *Sobików*; na *Soban*, skąd *Sobanice* i nazwisko *Sobańskich*; na *Sobian*, skąd *Sobiany*; na *Sobiesz(a)*, skąd *Sobieszów* i *Sobieszyn*, i na *Sobisz*, skąd *Sobiszowice*; na *Sobięta*, skąd imię osobowe *Sobięta* (*Sobanta*) już w bulli z r. 1136 i t. d. Nie wyliczamy skrótów tych więcej, gdyż o to w tej chwili nie chodzi, a zaznaczamy tylko jeszcze, że wśród tych skrótów było także skrócenie *Sobota* i *Sobótka*¹⁾, skąd po dziś dzień nazwiska rodowe tego brzmienia u nas i w Czechach, skąd znowu nazwy miejscowe, jak u nas *Sobotów*, *Sobocice*, a u Czechów *Sobotin*, *Sobotice*. Skrócenie to jest niczem nadzwyczajnem, gdyż tak samo skracaly się inne imiona osobowe: *Sambor* na *Samota*; *Żyrosław* na *Żyrot*; *Drogosław* na *Drogota*; *Wyszemir* i *Wyszesław* na *Wyszota*; *Lubomir*, *Lubosław* na *Lubota*. *Jaczymir* na *Jakota*; *Cieszymir* na *Ciechota*; *Gniewomir* na *Gniewota*; *Niegosław* na *Niegota* i t. d.²⁾ Było więc u Słowian imię osobowe *Sobota* ze zdrobnieniem *Sobotka*, niezawisłe zgola od hebrajskiej *soboty* i nie mające z nią nic zgola wspólnego. Ale mieliśmy jeszcze inną słowiańską *sobotę* i *sobótkę*.

Las odosobniony, odgraniczony, bezludny zwał się *las sob* lub samo *sob* z domyslnem *las*. Lecz zamiast form przymiotnikowych, jaką w tym wypadku jest *sob*, języki słowiańskie lubią używać rzeczownikowych, zakończonych w języku polskim na (e)ń, (e)c, ik; więc też zamiast wyrażań: *styczny*, *kwietny* lub *kwiatowy*, *czerwiowy* lub *czerwny*, *lipowy* albo *lipny*, *sierpowy* albo *sierpny*, *wrześniowy* albo *wrzesny*, *październy* lub *październowy*, *grudny* lub *grudowy* — z domyslnem *miesiąc*, mamy: *styczeń*, *kwiecień*, *sierpień*, *wrzesień*, *grudzień* i *marzec*, *czerwiec*, *lipiec*, *październik*. Otóż i zamiast *sob* z domyslnem *las*, oczekujemy w tem samym znaczeniu rzeczowników, jak *sobień*, *sobiec*, a że takie rzeczowniki rzeczywiście istniały, stwierdzają nazwy miejscowe, jak *Sobień*, starożytny zamek, dziś ruiny w pow. liskim (w Galicyi). jak *Sobczyk* (zdrobnienie od *sobiec*, jak *chłopczyk* od *chłopiec*), osada leśna w koneckim. Nazwa *Sobień* jest przez to ciekawa, że posiadamy ją w tłumaczeniu ruskiem (rusińskim), które stwierdza jej dawne znaczenie.

¹⁾ Zob. Jacob Grimm. *Deutsche Mythologie* str. 58—59. Paul Hermann. *Deutsche Mythologie* str. 400—411.

²⁾ Zob. *Słownik* Lindego.

¹⁾ Ponieważ skrócenie to brzmiało *sub*, więc z czasem zaczęto mówić także *Subisław*, zam. *Sobiesław*. (Zob. Fr. Miklosich *Personennamen* i O. Balzer *Genealogia Piastów*), a stąd znowu skrócenie *Subik* zam. *Sobik*, powtarzające się u ludu w okolicach Krosna jako nazwisko rodowe, a znane jako imię osobowe już z bulli papieskiej z r. 1136.

²⁾ Zob. Fr. Miklosich *Personennamen* 317.



W H i s t o r y i Długosza czytamy mianowicie, co następuje: „Bieszczad (Byeskod) góra w pobliżu zamku S o b i e ń (Sobyen), rozgraniczająca ziemię polską od Węgier, na jej bowiem wierzchołku można widzieć kamień ruskimi głoskami napisany, oznaczający granice królestw: polskiego i węgierskiego, a położony tam przez Lwa, księcia Rusi. Z tej góry i u jej szczytu wytryskują znaczne i walne rzeki, jako to: Dniestr, San, Stryj i Cisa i spadają do krajów niżej leżących: Polski, Rusi i Węgier z samego wierzchu góry”.¹⁾ W ustach polaka wieku XV nazwa Bieszczad brzmiała Bieszczod, dlatego napisał Długosz Byeskod (pisownia była nieustalona, więc cz wyraził przez k), jak pisze i P o p r o d (nie Poprad), bo tak wtedy brzmiały i tak brzmiałyby jeszcze dzisiaj w ustach naszego ludu, który po dziś dzień mówi dziod, skłod, tworz i t. d., zamiast dziad, skład, twarz, jak mówili wszyscy polacy w wieku XV (i XVI jeszcze). Co ta nazwa ma znaczyć?

Jest w języku starosłowiańskim wyraz c z ę d o i oznacza „dziecko”. Był ten wyraz niegdyś i w naszym języku, tak samo brzmiał i to samo znaczył. Jeżeli więc po starosłowiańsku chciało się powiedzieć b e z d z i e t n y, mówiło się b e s c z ę d ь (=bezczędъ), co po polsku brzmiałoby bieszczęd, albowiem dzisiejsze bez brzmiało w staropolszczyźnie biez (porów. Biezdiedza). Ale oprócz wyrazu czędo, miał język starosłowiański także wyraz czędъ, od tamtego pochodzący, pierwotnie w znaczeniu „dziatwa”, potem „czeladź”, wreszcie „lud”. Mówiło się też w języku starosłowiańskim: „Abraamowa czędъ, ubogaja czędъ, prostaja czędъ, czędъ mnoga”²⁾ Stąd przymiotnik b e s c z ę d ь

znaczył w języku starosłowiańskim nie tylko „bezdzienny”, ale i „bezludny”, odludny, pusty, a mianowicie w stosunku do okolicy, do lasu. Ponieważ zamiast naszego i starosłowiańskiego miękkiego ę mamy w języku ruskim (и), jak pouczają wyrazy p i a t', d e s i a t', c z a s t', więc starosłowiańskie b e s c z ę d ь brzmiało po rusku b e s c z a d, a z ruska po polsku bieszczad. I stąd to nazwisko rodowe Bieszczad w Krośnie i we Lwowie, a zapewne i gdzieindziej. B e s c z a d (z polską Bieszczad) jako nazwisko znaczy pierwotnie „bezdzienny” czyli, jak to mazur zwykł mówić, „przeddzienny”, z czym w związku nazwisko P r z e d d z i e c k i c h. Jeżeli po rusku chciało się powiedzieć „bezludny, pusty las, puszcza” mówiło się „bieszczad lis” lub krótko b e s c z a d z domyslnem lis (las). Bezludne, pustelasy, puszcze leśne, jakich na Podkarpaciu i w samych Karpatach było pełno, nazywały się więc po rusku b e s c z a d y z domyslnem l i s y. Tak powstała dzisiejsza nazwa lesistych niegdyś Karpat. Ponieważ nazwę B i e s z c z a d napisał Długosz z powodu nieustalonej jeszcze wtedy pisowni polskiej i nieustalonego znaku na wyrażenie dźwięku cz B y e s k o d, więc potomni: jedni, widąc świadomości rzeczy, czytali to dobrze: Bieszczad, drudzy zaś, nie mając zgola żadnego wyobrażenia o nazwie, czytali to i wymawiali Bieskod, co dostawszy się do ust ruskich, musiało przybrać brzmienie B e s k i d, ponieważ w języku ruskim, jak wiadomo, samogłoska o wymawia się przed spółgłoskami na końcu wyrazów i zgłosek jak i: nasze: pod, zachód, naród, kot i t. d. brzmi po rusku pid, zachid, narid, kit. Beskid czyli z polską Bieskid jest tedy dziwolągiem językowym, nazwa prawdziwa powinna brzmieć po rusku Bieszczad, z ruska po polsku Bieszczad.

¹⁾ Fr. Miklosich. Personennamen 224.

²⁾ Jan Długosz. Hsitorya (wydanie Przeddzieckiego) I. str. 46.

(CDN)

— S. Matusiak.

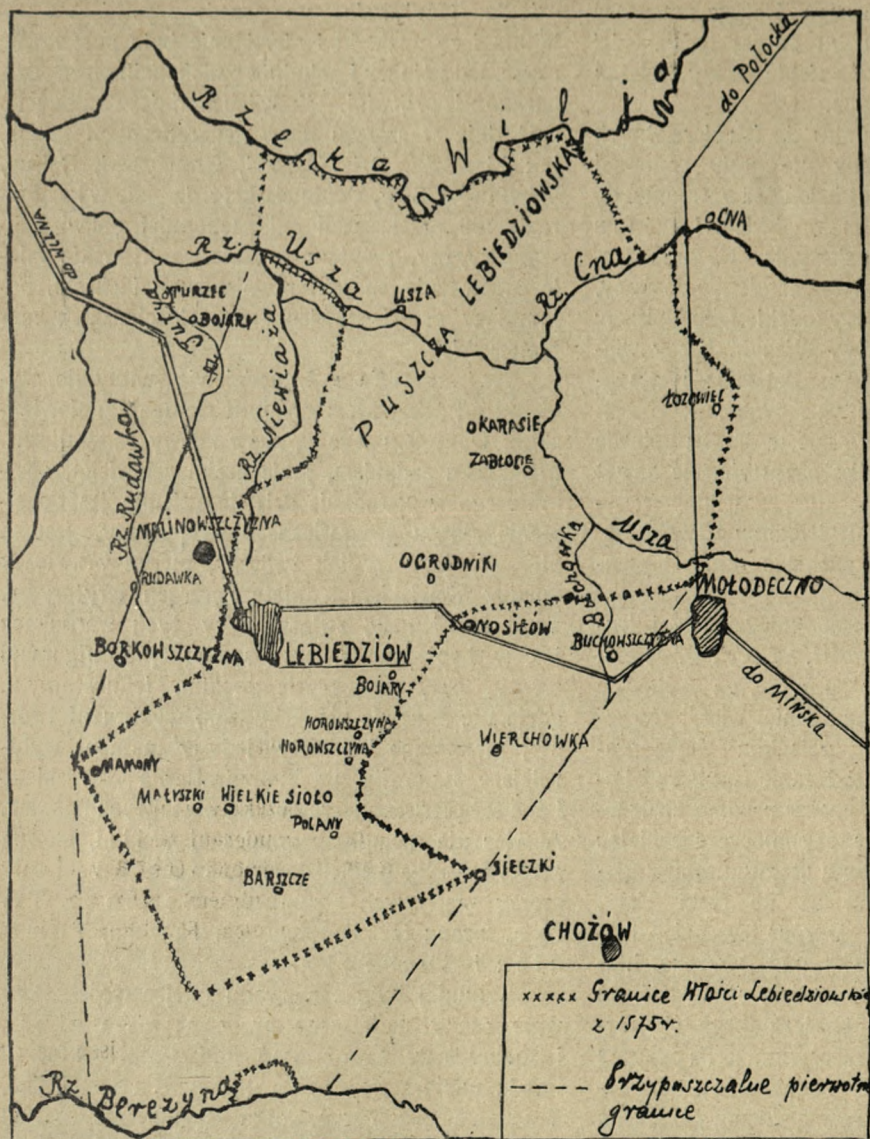


Włóść Lebedziowska.¹⁾

Długo nietknięte szumiały pierwotne puszcze po obu brzegach górnej i średniej Wilii. Nie tylko na dalekim zachodzie, ale i bliżej, w Polsce niezmordowane ręce ludzkie, zbrojne w topory i krzesiwa, żelazem i ogniem wrzynały się w dziewicze bory, a słowiańskie sochy, krając wydartą puszczy glebę, zmuszały ją rodzić ziarno na chleb dla powstających coraz szerzej, coraz gęściej osad

ludzkich. Oddawna już szła tam na zachodzie kulturalna praca, a tu nad Wilią nie zmieniano się nic chyba od dnia stworzenia. Poza szerokim pasem moczarów nadbrzeżnych, sięgających zresztą w formie języków i w głąb terytorium, rozpoczynało się królestwo borów.

Wzdłuż niskich brzegów rzek i strumieni rozsiały się drzewa liściaste, dalej na łagodnych bar-



rys. W. Kamieniecki.

dzo wyniosłościach przeważała sosna. Zostawione same sobie kolosy leśne ginęły śmiercią naturalną, waląc się od wichru i tworząc pokryte mchem zwalę drzew, tamujące nie tylko przebycie puszczy, ale nawet odpływ wilgoci: wszędzie tworzyły się porośnię trawą bajory, jeziora leśne, pozwalające się rozwijać niesłychanie bujnej roślinności. Miejscą odkryte rozrzucone były między borami w kształcie polan leśnych, niejednokrotnie bardzo rozległych. Naogół jednak okolice nadwilejskie było to królestwo puszczy.

Długie wieki minęły zanim trafił tutaj człowiek, nie zbłąkany myśliwiec czy wędrowiec, ale świadomy celu osadnik. Pierwszy ślad stosunku człowieka do tego terytorium mamy w legendzie kronikarskiej, wedle której ziemie po lewej stronie Wilii dostały się jako dzielnice książęciu Holszy.

Jaką drogą dostało się im terytorium po lewym brzegu Wilii, nie wiemy i nie wiemy nawet, co im się właściwie pierwotnie dostało. Według wszelkiego prawdopodobieństwa rozciągało się podległe Holszańskiemu terytorium na kolosalnej przestrzeni, po lewej stronie Wilii od Holszan do Wiazynia, ponad licznymi dopływami Wilii z jednej i Berezyny z drugiej strony. Nie było to zapewne terytorium zwarte. Wrzynały się w nie zarówno ziemie w. książęce: Marków i Puszcza Markowska, jak i „imiona” pańskie — Zabrzezie Zabrzezińskich, Chozów Sudymontowiczów od północy i Smorgoń Zenowiczów. Poza tem jednak stanowiła Holszańszczyzna kompleks olbrzymi, odpowiadający dość dokładnie tradycji kronikarskiej o nadaniu Holszy ziem na lewym brzegu Wilii.

Musiła ta dzielnica od początku przedstawiać pewne dogodności gospodarcze i osadnicze,

Holsza jest postacią mityczną. Natomiast znani są dobrze historyi jego potomkowie, ks. Olgimuntowicze-Holszańscy, według wszelkiego prawdopodobieństwa dawni litewscy książęowie szczepowi przez Gedyminowiczów pozbawieni udzielnego stanowiska. Właściwą ojczyzną Holszańskich były strony na północ od Wilna, na granicy dzisiejszego wileńskiego i wilkomierskiego powiatów. Tutaj koło Bolnik, Szeszoł, Giedroyć, Swiran gnieździły się praprzodków Gedymina, pralitewskich dynastów Holszańskich, Świrskich, Gedroyców. Ci ostatni zamknięci sami w sobie maleli i drobnieli, szczęśliwszym Holszańskim udało się wydstać na szeroką arenę — stworzyli, na krótko zresztą, jeden z najpotężniejszych rodów magnackich Litwy Jagiellońskie.

Jaką drogą dostało się im terytorium po le-



sকoro potomkowie mitycznego Holszy przenoszą tu bardzo wczesnie centrum swojej działalności i nawet od stworzonej przez siebie osady Holszan biorą nazwisko Holszańskich.

Kto wie, czy w stosunku do ich pierwotnych siedzib litewskich Holszany nie grały podobnej roli, jak bogate przestrzenie ukraińskie w stosunku do drobnych ojcowizn panów małopolskich. I tu i tam szerzej, śmielej rozwijały się skrzydła. Na nowym terytorium biorą się Holszańscy energicznie do pracy. Mnożą się z biegiem lat osady ludzkie koło Holszan: powstają Traby, Lebedziów, Wiazyń. Kiedy właściwie rozpoczęli Holszańscy działalność gospodarczą na swoich kresach wschodnich — o tem nic nie wiemy. W każdym razie w drugiej połowie XV w. Lebedziów nie tylko egzystuje, ale nawet stanowi samodzielną jednostkę gospodarczą; — jako taki, dostał się w dziale jednemu z synów kn. Juria Semenowicza Holszańskiego — kn. Aleksandrowi.

Granice pierwotne włości lebedziowskiej trudno dzisiaj na mapie wykreślić. W XVI w. opierał się Lebedziów od północy o Wilię, na wschodzie dochodził do rzeki Cny, skąd mniej więcej równolegle ze starym gościńcem połockim biegła granica pod Mołodeczno, stamtąd mimo Nosiłowa i Polan zbaczała ku Sieczkom, poczem mimo Hruzdowa i Połoczan podnosiła się ku północy, zagarniając Barszcze, Małyszki i Mamony; stamtąd szła w kierunku północno-wschodnim aż do rzeki Uszy, a potem puszcza do Wilii. Oprócz tego należał do Lebedziowa oddzielny aneks nad Berezyną, który pozwala nam z całą pewnością stwierdzić, że pierwotnie musiała włość Lebedziowska obejmować jeszcze znaczniejsze terytorium, że się opierała o granice naturalne: Wilię i Berezynę; proces odrywania się oddzielnych terytoriów poznamy później na przykładzie Malinowszczyzny; podobną drogą mógł Lebedziów stracić związek z pozostałym nadberezynskim anneksem. Tak też powstawały z biegiem czasu i inne szachownice na gruntach lebedziowskich.

Ogółem liczył Lebedziów w XVI w. 569 włók litewskich, morgów 23, przętów 27. W tem właściwa puszcza pierwotna, po obu stronach rzeki Uszy leżąca, zajmowała włók 230 czyli około 9200 morgów now. pol. Poza tem obejmowało terytorium Lebedziowa zarówno błotnistą strefę łąk nad Wilią i Berezyną, jak i wyżej położone, dogodnie dla uprawy falistości wododziału między temi dwoma rzekami. Sam Lebedziów położony był na krańcu wzgórz nad starym szerokim gościńcem między Wilnem i Mińskiem.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa na terytorium Holszan już w chwili obejmowania go przez Olgimuntowiczów istniała pewna ludność

osiadła. [Napływała ona przedewszystkiem z południa i ze wschodu i plemiennie była przeważnie rуска. Od północy i południa podchodzili wprawdzie bardzo blisko litwini, — ślady ich osadnictwa mamy do dziś dnia w szeregu nazw geograficznych takich, jak Lipnizski, Dziewieniszki, Grauzyski, Boltup, Wiałbutów, Soły, Doubuciszki i t. d., — ale w każdym razie nie przekraczali oni zachodniej polaci Holszańszczyzny, przyletem osadnictwo litewskie miało przeważnie charakter wojskowo-szlachecki, bojarski w przeciwstawieniu do włościańskich mas białoruskich.

Na wschodzie w Lebedziowie mamy do czynienia od początku z czystym elementem słowiańskim. Dowodem tego są znów nazwy geograficzne. Pierwszem zadaniem, jakie czeka człowieka, obejmującego w posiadanie dziewiczą ziemię, jest dopełnienie chrztu geograficznego swej osady. Jest to pierwszy jego wysiłek twórczy, pierwszy związek między człowiekiem a objętem przezeń terytorium. Trud to niemały, zwłaszcza w tych warunkach jak w Lebedziowie, przy spokojnej konfiguracji terenu, przy krajobrazie ubogim, jednostajnym, gdzie nic zupełnie nie pobudzało wyobraźni twórczej pierwszego kolonisty; jedyny moment wybitniejszy stanowiła siła hydrograficzna — rzeki — i one też pierwsze doczekały się właściwych nazwisk. A więc nie rachując pogranicznej Wilii, główna arterya wodna Lebedziowa Usza z Cną i cały szereg mniejszych strumieni: Niewiaża, Turrya, zwana też Sipunicą, Rudawka, Tumonica i Buchowka.

Trudniej było z nazwami miejscowości. Pierwsze osady nadrzeczne brały nazwiska od wód, i mamy cały szereg osad nad Uszą, z których każda nazywa się Uszą, mamy Cnę nad Cną, Turzec nad Turzą, kilka Buchowszczyzn nad Buchowką. Poza tem ściśle z terenem związane są nazwiska Zabłocia na północy i Polan na południu, mogące sięgać odległej przeszłości. Wyniosłościom wododziału zawdzięczają swoje nazwy dwie Horowszczyzny i poblizka Wierchówka. Fauna miejscowa poddała temat do dwóch nazwisk na omawianem terytorium: samego Lebedziowa¹⁾ i osady Karasi. Flora odbiła się chyba w jednej tylko nazwie Łozowca.

— Oto i wszystkie niepersonalne i niezawodowe nomenklatury geograficzne. Dla tak znacznego terytorium jest to ubóstwo bardzo wielkie, do którego trzeba się jednak przyzwyczaić przy studiach nad geografją Litwy. Natura litewska, dzisiaj dla naszych umęczonych oczu pociągająca i piękna swoim spokojem, przedstawia jednak i przedsta-

¹⁾ Choć kto wie, czy Lebedziów nie pochodzi od nazwiska starego rodu tatarskiego Lebedziów.





Z NASZYCH KRAJOBRAZÓW.



33. JODŁY NA LYSOGÓRACH

fol. St. Thugutt

malownicze perspektywy jarów i dolin karpackich i wijące się z szumem Prutu.

Już od Stanisławowa widzimy na widnokręgu sine pasma gór. Szybko przebywamy rozległą dolinę Bystrzycy i wjeżdżamy w ogromne przestrzenie lasów nadwórniańskich, ongi dóbr stołowych królów polskich, dziś własności rządowej. U stóp Strahory pnie się linia kolejowa stale w górę, by dosięgnąć działu wód między Bystrycą a Prutem. Dosiągnąwszy go w Łojowej, spuszcza się pociąg chyżo ku dolinie Prutu, przebiega po śmiałym, 32 m. wysokim wiadukcie nad Lubiezną i do-

chodzi do Delatyna. Z okien wagonu widać to górskie miasteczko: — domy rozrzucone na długiej przestrzeni, kościołek i zabudowania saliny rządowej. W daleku południowi wśród pasem górskich odcina się charakterystyczny szczyt Chomiaka.

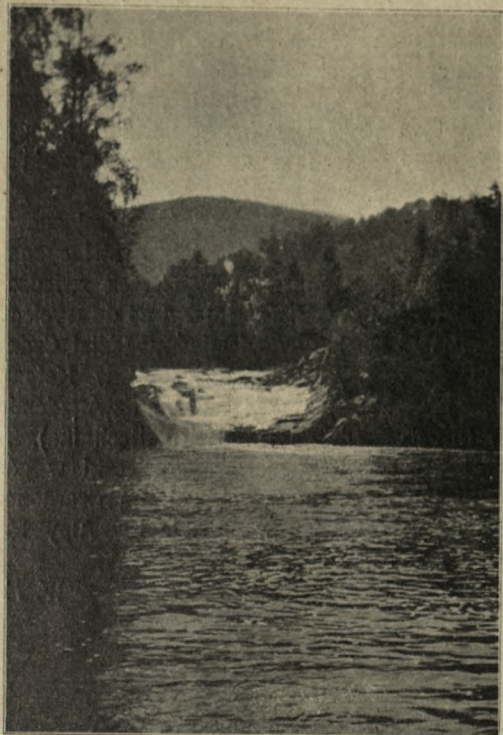
Okolica staje się coraz bardziej malownicza. Wokoło piętrzą się wysokie kopce gór gęstym borem świerkowym poszyte, w dolinach i na polanach widnieją tu i owdzie chaty huculskie, od czasu do czasu mignie drewniana cerkiewka, niska, przysadzista, z trzema bizantyjskimi kopułami.

Dolinę Prutu od Delatyna po Worochtę trzeba bez przesady zaliczyć do najpiękniejszych okolic kraju. Dziś dolina ta to jedno wielkie letnisko zasiane willami i rojące się w sezonie od gości.

Mijamy Dorę i Jaremczę, gdzie kolej przekracza Prut wspaniałym 30-metrowej wysokości wiaduktem. Wobec monumentalnego łuku ciosowego o 65 metrowej rozpiętości, leżący w dole most drogowy, choć wcale nie drobny, wydaje się zabawką.

Przejeżdżamy tunel. U wjazdu doń zwraca naszą uwagę ogromny głaz z krzyżem na wierzchu. To „Kamień Dobosza”, głośnego w Beskidzie wschodnim opryszka, który jest tem dla Huculszczyzny, czem Janosik dla Podhala. Pełno też tu o nim pieśni, legend i pamiątek.

Pozostawiamy na boku zaciszną Jamną, znów tunel i stajemy w otwartej dolinie mikulczyńskiej, wzniesionej 600 m. nad poziom morza. Na Tatarów, może najpiękniejszą na całej przestrzeni miejscowość, w przeciwieństwie do Mikulczyzna w ciasnej kotlinie położoną, dojeżdżamy do Worochty, osta-



WODOSPAŁ PRUTU W JAREMCZU

fol. W. Fiszer.



DZWONNICA W JAREMCZU

fol. W. Fiszer.

tniej osady a zarazem letniska. Ze względu na swe wielorakie zalety nadaje się Worochta znakomicie tak na letnią jak i zimową stację klimatyczną i jest obok Jaremcza najchętniej odwiedzana, posiada liczne pensjonaty, domy zdrowia, letnie kolonie wakacyjne i t. d. Zimą zaś przybywają tu licznie narciarze.

Następna stacja, Woronienka, leży już na wysokości 835 m. Lasy zwolna rzedną. Prócz budynków stacyjnych niema tu osady ani will dla letników. Linia kolejowa wchodzi zaraz za stacją do długiego 1220 m. tunelu, w połowie którego jesteśmy już na Węgrzech.

Beskid wschodni daje turystyce możliwość podejmowania całego szeregu wprost przepięknych wycieczek, od krótkich półdniowych aż do kilkustudniowych i wymagających już znacznej wprawy turystycznej. Obrawszy

sobie za chwilową siedzibę Jaremcze, Mikuliczyn, Tatarów czy Worochtę, gdzie znajdują się wygodne pensjonaty, w Worochcie nadto godny polecenia dworzec gościnny Oddziału Czarnohorskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, może turysta przedsięwziąć wycieczki na leżące w pobliżu danej miejscowości szczyty. I tak z Jaremcza: na Czarnohorec (1402 m.), Jawornik — Gorgan (1467 m.), Doboczanę (1757 m.), z Mikuliczyna na Ledeskuł (1464 m.) i Liszniów (1256 m.); z Tatarowa: na Chomiak

(1544 m.) i Sennik (1664 m.), z Worochty w końcu: w pasmo Czarnohory, 30 kilometrów długie, ze szczytami: Czarnohora (2026 m.), Munczel (2002 m.), Gutin-Tomnatek (2018 m.), Turkut (1935 m.), Danczerz (1822 m.), Howerla (2058 m.) i Pietros (2022 m.) — na Świdowce, w Karpaty Marmaroskie i w Alpy Rodniańskie.



HUCULI

fol. W. Fiszer.

A znajdzie się



tu wiele rzeczy ciekawych i poznania godnych. Przedewszystkiem bogatą przyrodę górską, więc bory karpackie, prawdziwe puszcze, niemal że ręką ludzką nie tknięte, jakich w Europie środkowej już się nie spotyka, powyżej zaś krainy kosodrzewu bezbrzeżne pastwiska, połoniny ze stadami bydła i owiec, z gospodarstwem halnym, z całą swobodą i urokiem życia pasterskiego. A dalej ludność miejscową—hucułów, lud o wybitnym typie i charakterystycznych cechach, śmiały, gościnny, zręczny, trzymający się mimo wszelkich wpływów swych dawnych, tak malowniczych strojów. Lud ten był też tematem dla tylu naszych artystów malarzy, że wspomnimy tylko ostatnich: Sichulskiego, Jarockiego i Pautscha.

Nie dziw przeto, że kto raz tu zawita, ten opuszczając z ąłem góry, żegna je słowami „do widzenia”, — nie wstrzyma się bowiem, aby tu znów nie powrócić, nie pokrzepić piersi górskiem powietrzem i napić oczu cudami przyrody.

Zawsze jednak Beskid wschodni nie jest jeszcze tak licznie zwiedzany, jak na to zasługuje, — a już turyści z Królestwa należą tu do białych kruków. Może tych kilka słów, nie mających zresztą pretensyi do tego, by krasę Beskidu należycie przedstawiły, potrafią zachęcić do zwiedzenia tu-tejszych okolic.

Może też Polskie Towarzystwo Krajoznawcze i liczne a ruchliwe jego oddziały prowincjonalne włączą do programu swych wycieczek zwiedzenie tej części ziemi naszej. Informacyi co do wycieczek w okolicy Czarnohory udzielają: „Oddział Czarnohorski Towarzystwa Tatrzańskiego” w Kołomyi, „Klub jaremczański” w Jaremczu i „Akademicki klub turystyczny” we Lwowie (politechnika). Ten ostatni urządza też zbiorowe wycieczki w góry, a w bieżącym sezonie wycieczki: na Czarnohorę, Chomiak, w Karpaty Marmaroskie i w Alpy Rodniańskie.

W. F.



Z podróży na Pomorze. ¹⁾

I.

Podróżując po Pomorzu widzi się i czuje starożytność dziejową tych ziem na każdym kroku. Między Odrą a Łabą siedziały od prawnieku dwa najpotężniejsze ludy lechicko-polskie: bodrycy i luty, których plemienną gałęzią byli starzy pomorzanie, różniący się od pierwszych głównie tylko ziemiopisną nazwą. Stwierdzoną jest rzeczą, iż pierwotne Pomorze obejmowało także dzisiejsze nadmorskie ziemie Meklenburgii. Bodrycy, luty i pomorzanie tworzyli właściwie jeden lud, posiadający mniej więcej jedną i tę samą gwara, te same zwyczaje i obyczaje, jako też wierzenia, niemniej zaś jedną szczepowość, niestety rozbitą na plemiona, odrębne państwa i różne noszący nazwy. W dziejowych już czasach, na początku wieku XII należały do Pomorza północno-wschodnie ziemie lutyków, jako to: czerepianka, doleczkańska, rubarska i ukrańska, wraz z ostrowami Uznójmem i Wolinem. Granicą zachodnio-pomorskiego państwa za czasów księcia Wartysława była od zachodu rzeka Rokitnica. Książęta pomor-

scy zwali się nie tylko Pomeranorum, lecz nosili też do r. 1215 tytuł *duces Leuticorum*. Później stracili oni większą część ziem lutyckich. Część ziemi czerepiankiej i doleczkańskiej dostali książęta bodrycy (meklenburscy), zaś ziemia rutarska i ukrańska jako też część właściwego Pomorza między Odrą a Wartą (Nowa Marchia) przypadła markgrafom brandenburskim. Za rzekami Trebolą i Reką (Helde) ku północy rozpościerało się państwo „Ranów”, ze słynną świątynią Swantowita w Arkonie na wyspie Rojnie (Rügen), świętej wyspie lechitów; za Rokietnicę sięgały daleko poza Lubę na półwysp duński państwa bodrywców i wagrów. Przeszłość tych państw lechickich ginie po największej części w pómroce dziejowej. Długowiekowa była ich świetność, czego homeryczne odbłaski przechowują nam „sagi” skandynawskie i niektóre zapiski kronikarzy. A właśnie ta ich „przeddziejowość”, żyjąca tęczowymi blaskami w podaniach — to bardzo długi rozkwit ich potęgi politycznej i rodzimej kultury, okres wolności ludów zachodnio-północnej Słowiańszczyzny. Światło dziejowe, rzucone na te ludy,



SŁUPSK NA POMORZU (Stolp)—KLASZTOR.

mianowicie przez kronikarzy niemieckich w czasach rozboju i podboju germańskiego, przedstawia nam właściwie już tylko ich upadek i gruzy dawnej świetności, wielkości i potęgi. Wtedy zapadały się już pyszne miasta i możne grody nadbałtyckich lechitów w ziemię i w morze. A była tych miast i grodów mnogość i słynęły też z wspaniałości. Jeszcze Adam bremeński zowie „J u m n e” największym miastem Europy, dzieje zaś przechowały sporo szczegółów, świadczących o wielkim rozkwicie pogańskiego Szczecina, Lubeki, Zwierzyna, Kołobrzega, Koretnicy, Arkony, Starogardu i wielu jeszcze innych. Wieki sławy i potęgi, wieki kulturalnej pracy narodowej pochłonęło morze przelanej krwi, spłonęły w pożogach wojen z naporem germańskim, a wróg niemiecki nie tylko niszczył pomniki dawnej potęgi i świetności, lecz zacierał też skrzętnie pamięć o nich. Przepadły też runy słowiańskie, o których istnieniu nie wątpią nawet niemieccy starożytnicy, jak: Lisch, Giesebrecht i inni, a z nimi pograżyła się w ciemną mgłę wieki trwającą sława samodzielnego prabytu nadodrzańskiej i nadlubskiej Lechii, której głównem nieszczęściem było rozbicie i różniczkowanie się.

Na olbrzymim gruzowisku zniszczonego świata pogańsko-słowiańskiego powstaje w mniej więcej 100 lat później żywiołowo potężny mściciel, król rański K r u t, jednoczący i łączący bodryców, lutyków i właściwych pomorzan w całość państwową. Oprawcy germańscy znikają zupełnie z widowni, świat pogańsko-słowiański powstaje jak feniks z gruzów, a wczorajsi jego zwycięzcy i ciemniężyciele drżą przed wskrzeszonym światowładztwem bożyszczka arkońskiego. Później atoli nie wytrzymuje Światowit walki z krzyżem, w r. 1168 pada „bóg bogów” pod razami siekier duńskich, a z nim ginie też rodzima samoistość nadodrzańskiej i nadlubskiej Lechii, stając się przedmiotem grabieży niemieckiej, ulegając obcej kulturze i obcemu językowi. Na widowni tej zjawia się raz jeszcze jednocząca rozbitych braci wielka postać naszego

Bolesława Chrobrego, lecz już z krzyżem w rękę. Posłannictwo to nie znajduje już zrozumienia u pobratymców, owszem łączą się oni nawet z wrogiem niemieckim przeciwko królowi polskiemu.

Wzniosła praca Schillera o „bogach Hellady” ma zupełnie zastosowanie do ziem pomorskich. I tu bowiem zaludniają „piękne postacie z bajecznej krainy” każdą niemal górę, pełno ich po lasach, gajach i polach, a nocą pluszczą się na przezroczach jezior lub szemrzą smętnie z wodami rzek i strumieni. Napęlniają one, jak niegdyś w Helladzie, ziemię i powietrze, z tą różnicą, że z nadziemskimi istotami błakają się po górach, lasach, na powierzchni jezior duchy pomordowanych swojskich książąt, wojewodów i witeziów, przypominając ludowi szczęśliwe, niedawne, dobre czasy!

Z rojem smutnych wspomnień z przeszłości, jakie budzą na tych ziemiach pozostałe ślady dawnej świetności swojskiej, przybyłem do Słupska, miasta pomorskiego. Jest ono dziś nawskroś niemieckie. Ładne i dość ożywione, posiada starożytny wygląd, przypominając żywo Kraków pod wieloma względami. Utrzymały się też szczątki starego obwarowania murem obronnym, mianowicie niektóre bramy. Nawodnione dawne rowy za murami zmieniono dziś na piękne ogrody, przypominające „planty” krakowskie. Kościoły ze starożytnym wyglądem okazałe, wspaniałe. Z dworca kolejowego wiedzie do miasta piękna długa ulica. Pra-gród ten pomorski zapisany w dokumentach: „Z t l u p”, „Z l u p”, „S l u p”, „S l u p z”, „S c h l u p z”, „S c h l u p i t z e”, leżał na wschodnim brzegu rzeki Słupi, która dziś przepływa miasto. W dokumentach znajduje się „Z t l u p” po raz pierwszy w r. 1013, chociaż przeżytki grodu pogańskiego gubią się w czasach o wiele dawniejszych. Kronikarz pomorski Micrālius twierdzi, że Bolesław Chrobry po pierwszej swej wyprawie na Pomorze posunął do tego miasta granice swego państwa. W XIII wieku wznosił tu wschodnio-pomorski książę Mestwin I zamek obronny. W r. 1310 otrzymuje miasto prawo lubeckie (niemieckie) i odtąd zaczyna się silnie niemczyć. Germanizacja ziemi słupskiej szła bez podboju z góry, t. j. od najwyższej władzy książęcej i duchownej w drodze pokojowej, i zupełnie tak samo, jak w Meklenburgii, na wyspie Rójnie i na Śląsku. Panujący książę, aczkolwiek słowianin, służył wiernie kościołowi i nowej kulturze, rundując klasztory z rozległymi posiadłościami ziemskimi, do których sprowadzał zakonników niemieckich. Za niemieckimi mnichami ciągnęły roje osadników niemieckich, których przywilejowano prawem niemieckim, uwalniając ich od ciężarów i niewolnictwa, czem podług dawnych ustaw krajowych była obarczona rodzima ludność chłopska. Nowe osady niemieckie stawały się przy



gorliwym poparciu ze strony panującego księcia i możnego duchowieństwa rozsądnymi germanizacyi. Narzucano krajowej ludności w kościele, szkole i w urzędzie obcy język niemiecki. Lud stawiał wprawdzie opór przeciwko temu, lecz w końcu uległ przemocy kulturalnej, popieranej przez wyższe stany, choć burzył się nieraz w obronie starego obyczaju i gwary rodzimej, nieraz lała się tu nawet krew z tego powodu. Prawda, że z postępującą germanizacją wzrastała potęga państwa, zwiększał się dobrobyt, wzmagała się oświata i upowszedniał się porządek i karność, lecz wszystko to działo się za cenę zatracenia jestestwa narodowego, duszy ludu i jego odrębności.

Kolonizacya niemiecka szła od zachodu, a rozpoczęła się pod panowaniem księcia dyminińskiego Wartysława i księcia szczecińskiego Barnima, gdy domy książęce, duchowieństwo, szlachta i miasta były już prawie ziemczone lub też co najmniej dobrze podniemczone. Ostatni był nawet wrogiem swego własnego plemienia, a natomiast brząkał na niemieckiej gęśli *minnesängerów*. Niemcy wielbią go. Zowią go „*der milte vürste Barnam von Stettin*”.

Od drugiej połowy wieku XIII można uważać ród zachodnio-pomorskich książąt za ziemczonego. Zachowali oni tylko imiona słowiańskie. Ostatni tego rodu książę podpisywał się (1633): „*Bogischlaff, dieses Namiens der vierzehende, herzog zu Stettin, Pommern, der Cassuben und Wenden, fürst zu Rügen*”.

Słupsk już na początku wieku XIV należał obok Gdańska i Świecia do najsilniej obronnych grodów Pomorza wschodniego. Pierwotnie stanowiła rzeka Łaba w dolnym swym brzegu granicę pomiędzy wschodniem a zachodniem Pomorzem. Ziemia słupska w szczególności stanowiła rodzaj spornego terytorium pomiędzy obydwoma księstwami pomorskimi. Dążenie książąt zachodnio-pomorskich do rozszerzenia swego panowania na wschód poza górę Chołm miało w XIII wieku bardzo mały skutek. Dopiero na początku XIV wieku (1317) udało im się przyłączyć tak zwane „księstwo słoweńskie” z miastami Słownem i Słupskiem po rzekę Lupawę. Ziemię bielgardzką na wierzchniej Persancie pozyskali oni pod swe panowanie jeszcze w drugiej połowie XII wieku. Odtąd zowią się „*duces Slavorum et Cassubiae*”. Około połowy XIII wieku przynależały do księstwa zachodnio-pomorskiego następujące ziemie, noszące nazwy w większej części grodów: Łosice, Szczytino, Lieszany, Wolgoszcz — na lewym brzegu rzeki Rany; na prawym zaś jej brzegu: pomorska część ziemi dołęczańskiej, Dymin, Groźwin (Anklam), Rochów, Polica, Pakun, Szczecin, Chiczyń,

Ceten, Wyszków, Banin, Kolbas, a na południu: Pieryca, Stargard, Nowgard, Matow; ku morzu: Kameń, Kołobrzeg, Koszalin i Trebetowo, w końcu wyspy Uznocin (Usedom) i Wolm (Wąsław). Okoliczność, iż wschodnio-pomorski książę Mestwin I stawia w Słupsku zamek obronny, dowodzi, że ta ziemia wówczas pozostawała w jego posiadaniu, atoli dopiero książę Swantopelk, syn Mestwina I przyłączył ją do Księstwa wschodnio-pomorskiego. W drugiej połowie wieku XII wchodziła ona w skład osobnego księstwa Ratyborowiczów, potomków księcia Ratybora, brata i następcy zachodnio-pomorskiego księcia Wartysława, którego panowanie rozciągało się na wschód od Kołobrzegu i góry Cholmu (Gollenberg koło Koszalina) do Górnej Persanty i Łeby. Głównym grodem tego księstwa było Sławno czyli Słowno (Schlawe), po którym ci książęta zwali się „słoweńskimi” a ich księstwo „słoweńskie”. Ziemia słupska należała wraz z bielgardzką do tego księstwa słoweńskiego. Druga linia książąt zachodnio-pomorskich byli Swantoboryce, osiedli koło Gostkowa (Gutzkow), Szczecina i Kolbata.

Okoliczność ta jest ważna dla wyjaśnienia bardzo ważnej kwestyi spornej albo raczej pytania, dlaczego niedobitki kaszubskie nad jeziorem gardęńskim na Pomorzu po rzekę Lupawę (Lupow) zowią swoje podrzecze kaszubskie „gwarą słoweńską” albo „po słowińsku”. Zwolennicy odrębności gwary kaszubskiej czyli tak zwanego „języka pomorskiego” uzasadniają głównie swój pomysł tem, iż powołują się na lud, który zowie swą gwara „słoweńską” i „sławińską”, wrzekomo tem mając zaznaczyć jej odrębność i samoistność. Istotnie mógłby ten argument mieć pewną podstawę, lecz przy bliższem rozpatrzeniu i zgłębieniu rzeczy, chroma on najzupełniej. Miasto Sławno zwane jest w dokumentach „Sławina” „Sławena”, „Sław” i „Sławe”. Brugemann pisze, że miasto otrzymało nazwę od zamku Sławe, leżącego w dawniejszych czasach na tem miejscu. Zamek ten obronny czyli gród był główną miejscowością kasztelanii Sławe. Ziemia ta dość znacznie rozległa otrzymała nazwę zwyczajem pomorskim od grodu czyli zamku obronnego, który zwał się Sławe od imienia pomorskiej księżniczki Sławy, córki księcia Swantobora I, która w XI wieku była żoną pogańskiego króla wyspy Rujny, Kruta. Pojął on ją za żonę w sędziwym wieku, a jak się zdaje, zdobył sobie młodą pomorską księżniczkę orężem. Kroniki pomorskie wspominają, że gdy budował gród Sławe, pomorzanie niezadowoleni z księcia Swantibora wybrali Kruta swoim władcą. Porwanie Sławy przez Kruta potwierdzałyby jeszcze okoliczność, iż była ona dla męża nieprzychylnie usposobioną, zdradzając starca przez następne



powtórne wyjście za mąż za poplecznika niemiec-kiego a wroga Kruta obodryckiego, księcia Wen-ryka. Dziejowo przechowane stare nazwy miasta: „Sławina”, „Sławena”, „Sław” i „Sław-e”, wskazują na pochodzenie nazwy miejscowej od żeńskiego imienia osobowego Sława, Sława. Są to w części przymiotnikowe formy, jak: Sławina i Sławena, oznaczające własność Sławy na pytanie: czyje? w części zaś oznaczają to samo pojęcie i w tem samym znaczeniu w 2 przy-padku: Sławe=polskiemu Sławy (gród, zamek).

Forma zaś Sław (Sław') jest prawidłowym tworem nazwy miejscowej z nazwy osobowej Sława przez dodanie sufiksu jŕ podług praw gło-sowni, tak samo jak nazwa miejscowa Bolesław, Wrocław, Gostyń, Luboradz lub Radogoszcz. Niemiecka nazwa Schlawe, urobiona podług najstar-szej polskiej, względnie kaszubskiej formy wska-zuje, że pierwotna forma nazwy miejscowej brzmia-ła: (Sł a w Sławjŕ gard albo gverd), co w wymowie ludu miejscowego przeistoczyło się w Słow (za-pomocą przejścia a w o, a z tego powstało później-sze Sławno i Słowno, księstwo sławeńskie i słoweńskie, książęta sławeński i słoweński (dux Slavorum), panujący nad ludnością ziemi „sławeńskie j” i „słoweńskie j”, a więc nad „słowińcami” albo „sławena-mi”. Tym sposobem powstała też gwara „słoweń-ska” albo „sławeńska”, zaznaczająca nie odrębność samoistną mowy kaszubskiej, która nie istnieje, lecz znacząca miejscowe podrzecze ziemi „sławońskie j”. Wywód mój potwierdza także najstarszy zabytek piśmiennictwa kaszub-skiego, mianowicie Śpiewnik Kościelny Szymona Krowaya (Krofea), wydany w Gdańsku r. 1586 w „jęziku sławieńskim”, w czym „sła-wieński” jest widocznie przymiotnikiem urobio-nym z nazwy „Sław” a „jęzik sławieński” oznacza widocznie tylko podrzecze miejscowe lu-du, dla którego śpiewnik był przeznaczony. Wszyst-kie więc przymiotniki tego rodzaju mają tylko teo-retyczne znaczenie, uzasadnione udzielnnością tej ziemi jako samoistnego księstwa. Są one więc tego rodzaju, jak: szwajcarski, belgijski, austriacki, tyrolski, poznański lub galicyjski, nazwą ziemiopi-sną, nie mogąc żadną miarą uzasadniać samoistno-sci i odrębności językowej, wcale nie istniejącej. ■ Przytoczę jeszcze, co pisze Parczewski o tem w „Szczątkach kaszubskich”. Pisze on: „...z niewątpli-wą i wybitną indywidualnością występuje nazwa słowenców. „Tu są Kaszubska Słowinsti”, „tu są kaszubowe posłowensti” „kaszubowie są słowinsti”

powiadamo mi w Szmolczeniu. Zresztą we wsi tej obie nazwy płaczą się ze sobą, jedna zastępuje dru-gą. Jeden z opowiadających kaszubów mówił, że w Klekach dzieci „mogą po kaszubsku”, drugi raz dodał czy też poprawił „po słowinsku”. Lecz już w Wielkiej Gardnej na zachodniej stracie stru-mienia Lupowskiego, ta ostatnia nazwa przeważa. Tu już zawsze mówi się po słowińsku; ludzie nazy-wają się słowince, słowinci lub w przymiotnikowej formie „słowinskie ludze”. Jest obrzęd i kancyonał słowiński. Stara Dosza (wieśniaczka z Wielkiej Gard-nej) wyraźnie odróżniała mowę słowińską od pol-skiej, mówiąc do mnie: „Ja gadam po słowińsku, a wy polsku”... Na wschód wielkiej Gardnej i Lu-powskiego strumienia nazwy polskie i „kaszubskie”, zarówno gdy chodzi o mowę i ludzi, schodzą się bardzo często w jednym i tem samym znaczeniu. Już w Szmoldzeniu powiadano mi, że to „wszystko jedno”.

Na tem, co pisze tak sumienny badacz, jak Par-czewski, można polegać. Był on na miejscu i wslu-chiwał się z uwagą w każde słowo, jakie go z ust ludu dochodziło, zapisując najdokładniej, co sły-szał i widział. Przytoczony powyżej ustęp z jego książki stwierdza wyraźnie, że „słowińskość” występuje dobitnie tylko w Wielkiej Gardnej na lewym brzegu Lupawy, podczas gdy na prawym jej brzegu polszczyzna miesza się ze słowińszczyzną i kaszubszczyzną, a nawet w Szmoldzewie, przez który Lupawa przepływa, nie umieją odróżnić je-dnej od drugiej, w Klenach zaś, na prawym brzegu, gdzie dziś znajduje się główne ogni-sko niedobitków kaszubskich tej części Pomo-rza, miesza się słowińszczyzna z kaszubszczy-zną. Z tego wynika jasno, iż od wschodu rzeka Lupawa odgranicza „słowińszczyznę” od polszczyzny i kaszubszczyzny, chociaż niema naj-mniejszej plemiennej i gwarowej różnicy pomiędzy ludnością np. Wielkiej Gardnej na lewym brzegu tej rzeki, a Szmoldzenia i Kluk, położonych na pra-wym jej brzegu. Rzeka Lupawa tworzy więc granicę „słowińszczyzny” od wschodu, lecz tylko w po-litycznym, ziemiopisnem znaczeniu, granicę dawne-go udzielnego księstwa „sławieńskiego” Ratyboro-wiczów. Uwidoczniają to też stare karty ziemio-pisne Pomorza, jak np. „Charta” norymber-skiego profesora I. D. Köhlera, wydana w r. 1787, na której Pomorze podzielone jest na „księstwa”, „królestwa” i „dominia” podług dawnych gra-nic ziemskich.

(CDN)

G. Smólski.





Stan wsi polskiej na Podkarpaciu. ³⁾

W przeciwstawieniu do Ameryki mamy najbliższy cel wychodźstwa zarobkowego w okręgu ostrawsko-karwińskim, gdzie wychodźca może raczej popsuć się, nabrać cech szumowin i mętów przemysłowych, a jednocześnie bardzo mało znajduje możliwości oszczędzenia; to też w najlepszym razie okręg ten może być etapem dla najbiedniejszych, gdzie mogą zdobyć środki na przejazd do Ameryki. Rynek pracy w tym okręgu wykazuje wielką chwiejność, tam też możemy stwierdzić wielką przystosowalność naszych wychodźców do tych chwiejnych stosunków.

Wychodźstwo wciągnęło w swój wir i żydów wiejskich oraz małomiasteczkowych; — tu autor twierdzi wyraźnie, że większa posiadłość ziemska była przytulkiem dla ludności żydowskiej i że rozdrobienie tej własności zmniejsza możność wyżywienia żydów na wsi. Żydzi zwykle opuszczają kraj na zawsze i żyd powracający z Ameryki jest rzadkością.

Od lat dwudziestu istnieje trzeci rodzaj wychodźstwa: posiadacze większej własności opuszczają wieś wraz z rodzinami w sposób ucieczkę przypominający, gdyż poza najzamożniejszymi, ciągnącymi do miast, jest to wychodźstwo bezplanowe. Życie na wsi traci dla nich wszelki urok i, zrywając wszystkie więzy, łączące ich z ziemią, dążą do spokojnego życia bez troski jako kapitaliści albo starają się o dobre posady jako urzędnicy państwowi lub krajowi. Autor bezlitosny w swej bezstronności zaznacza „prawie doszczętny upadek energii gospodarczej wśród tej grupy społecznej.”

Na str. 221—5 autor sądzi, że wśród inteligentnych kół społeczeństwa nareszcie zaczyna zapanowywać zdrowszy, liczący się z rzeczywistością pogląd na wychodźstwo. Jeżeli tak jest — autor na każdej stronicy daje dowody bezstronności — to zwracam uwagę, że pod zaborem austriackim opinia zaczyna wykazywać więcej zrozumienia, niż w Królestwie, gdzie wychodźstwo do Parany lub na Syberję jest wciąż powodem do popisywania się nieznajomością zjawiska i jego niezrozumieniem; — poprostu wyrywa się westchnienie: dlaczego człowiek z przygotowaniem, metodą i bezstronnością dr. St. Hupki nie zbadał i nie opisał wychodźstwa do Parany?

Opisując poszczególne okresy wykupu ziemi dworskiej, autor parokrotnie wykazuje dążność do tworzenia drobnych, lecz jeszcze samodzielnych gospodarstw chłopskich, to jest od pięciu morgów i więcej, a jednocześnie nie tylko nietworzenie się nowych dużych gospodarstw chłopskich, lecz nawet ich rozpad. W ciągu ostatnich lat dwudziestu nad

Wielopolką parcelacya większej własności postąpiła tak dalece, że grozi zniknięciem samego typu społecznego: z pozostałych 8644 morgów w ciągu lat siedmiu wyzbyło się 55% tej ziemi na rzecz chłopów. W ogóle w ręku większej własności nie pozostało nawet jednej piątej części jej dawnego stanu posiadania.

Porównyując parcelacyę nad Wielopolką z tem samem zjawiskiem w Poznańskim, autor przyznaje drugiemu wyższość kulturalną, gdyż tam kultura ziemi ani na chwilę nie ulega cofaniu; — dokonywują tego doskonale urządzone spółki, stałe w tym kierunku pracujące, nad Wielopolką zaś, jak wogóle w zaborze austriackim, ziemię chwytają spółki spekulantów, które po szybkim i bezplanowem rozprzedaniu ziemi bez żadnych względów kulturalnych znikają, „jak odżywcze pęcherzyki pierwotniaków”, aby z czasem znowu się zjawić w nieco zmienionym składzie.

W najnowszym okresie parcelacyi zwiększa się nawet liczba najdrobniejszych gospodarstw chłopskich, niesamodzielnych: jest to umieszczanie oszczędności a nie warsztat do pracy.

Autor zastanawia się nad pewną osobliwością: oto chłop nad Wielopolką kupują lub przykują ziemi tylko tyle, ile posiadają gotówki, rzadko kiedy i w niewielkim stopniu korzystając z kredytu. Dopiero w ostatnich latach szersze korzystanie z kredytu pociągnęło i tworzenie gospodarstw karłowatych. Następuje wzbudzająca podziw umiejętność obchodzenia się kredytem, i tę szybkość, z jaką chłop, przed 60 laty tonący w gospodarce naturalnej, przechodzi do gospodarki kredytowej, autor uważa za jedną z najwybitniejszych cech rozwoju kulturalnego wsi polskiej na Podkarpaciu.

Nowonabywca-chłop już czasami potrafi szanować las i nawet go sadzić.

Przy tem uruchomieniu ziemi czasem i większa własność dokupuje, a wówczas przyłącza aż 90% lasu; wogóle, jeżeli dawniej większa własność była na pół rolnicza, to dziś, wyprzedając rolę, staje się coraz bardziej leśną. Lasy zajmują miejsca wyżej położone, skutkiem silniejszej erozyi i denudacyi trudniej nadające się pod pług, a znacznie lepiej pod las; — cała ziemia równiejsza staje się chłopską.

Nie zadowalając się twierdzeniem, że dążnością żywiolową jest tworzenie drobnych lecz samodzielnych gospodarstw, autor zwraca się przeciw twierdzeniu, jakoby kolonizacya stwarzała gospodarstwa żebracze; — to twierdzenie autor uważa za zupełnie obalone i za wytwór wyobraźni. Za-



znaczą, że to poniekąd optymistyczne zdanie autora, z niesłychaną ścisłością sprawdzone liczbowo dla okolic nad Wielopolką, dotychczas jest odosobnione, gdyż dla całości stosunków w zaborze austriackim wciąż jeszcze panuje pogląd odmienny. To też narzuca się życzenie, aby takich wyczerpujących studyów było więcej, bo sprawa opanowania ziemi przez chłopów wraz z ich podniesieniem kulturalnym jest tak ważna, że wszystkie inne muszą się odsunąć na dalszy plan.

Ceny ziemi wciąż wzrastały: gdy początkowo za pole płacono 200 koron za móg, za łąkę 300, a za las (stuletni) 400, to w XX wieku najwyższe ceny za pole doszły do 1200 koron, za łąkę 1800, a za las (40-letnia jedlina) po 1600. Gdy w pierwszym okresie chłopci zapłacili 64 tys. koron, to w drugim za podwójną powierzchnię ziemi dali 223 tys., a w trzecim za trzy razy większy obszar 970 tys.; — są to sumy wypłacone z pierwszej ręki; jeżeli dodać, co chłopci zapłacili za ziemię przekupniom, to znajdziemy, że razem chłopci zapłacili do trzech milionów koron.

Nic dziwnego, że w takich warunkach wpływ szlachty na lud w ciągu całej drugiej połowy XIX wieku wciąż cofał się i malał: „przypisujemy chłopom — wyrokuje autor na str. 291 — pewnego rodzaju niepełnoletność, gdy narzucamy im za przedstawicieli ludzi zupełnie innej grupy społecznej”, a na następnej stronie: „szlacheckiego przedstawicielstwa (chłop) nie potrzebuje i bez niego może się rozwijać, a nawet cieszyć się kwitnym dobrobytem, jak tego dowodzą Szwajcarya, Norwegia i inne kraje, szlachty ziemiańskiej nieposiadające.” Chłop wytwarza mniej i gorzej co do ziarna, ale ogromnie przewyższa ilościowo większą własność pod względem wytworów zwierzęcych, to też nawet w razie zupełnego zniknięcia folwarków nie może być mowy o upadku kultury, lecz co najwyżej o zmianie jej rodzaju i postaci.

W dalszym ciągu autor porusza dążność żywiołową do rozpadu gospodarstw niesamodzielnych 2—5 morgowych, konieczność komasacji i drożyznę dzierżaw chłopskich.

Przytoczone ceny dzierżawne płacono za grunty blisko środka wsi leżące:

	za nieużytki lub grunty wilgotne	za grunty urodzajne
1890	10	16
1900	20	28
1908	25	36

koron z morga, i ta drożyzna sprawiała, że chłop uważał za korzystniejsze kupować na własność, nawet przepłacając za ziemię.

Te stosunki dzierżaw chłopskich narzucają się do porównania z guberniami wielkorosyjskimi.

Zmianę w stanie kulturalnym wsi autor charakteryzuje jako zanik szlachty (szczególniej jednowioskowej) i zanik sposobu życia związanego w stosunki sąsiedzkie. Wieś, dawniej znamieną swoją dwoistością — światem chłopskim i szlacheckim, teraz ulega zupełnemu schłopeniu. Kultura rozwijająca się wśród chłopów jest inną, aniżeli wśród dawnej szlachty, ale faktem jest jej rozwój, a jednocześnie (str. 337), kultura ta szybciej się podnosi w tych wsiach, gdzie dworu już nie ma, aniżeli w wioskach o dawnym typie dwoistym. Im wyżej podnosi się kulturalność wsi, tem więcej chłop zapożycza z życia szlachty lub też od wpływów obcych — niemieckich i amerykańskich.

Przechodząc kolejno różne strony życia, autor spostrzega zmiany; — są one głębokie i wybitne, to też należałoby omówić je szczegółowiej, na co łamy „Ziemi” nie pozwalają; jednak najważniejszych pominąć niepodobna. W latach 1900—1908 (największy rozkwit parcelacji) przyrost naturalny nie mógł znaleźć wyżywienia i przyrost rzeczywisty wynosił ledwie połowę naturalnego, z czego wypływa wniosek, że najsilniejsza parcelacja nie wystarcza, ludność dla swego wyżywienia musi wychodzić na roboty.

Parcelacja wywarła niezaprzeczalną zmianę w zewnętrznym wyglądzie wsi (stronice 340—345, a później aż do 354 należą do wyjątkowo wartościowych); ginie dwór z ogrodem i parkiem, ginie folwark, będący ośrodkiem wytwórczości gospodarczej, a natomiast dawniej skupiona, stłoczona nad rzeczką chłopska część wsi teraz się wyciąga w szeregi domostw i zagród wzdłuż drogi, a często i dróg prostopadłych do dawnej linii nadrzecznej; ten opis jest tak wyczerpujący, z tak głębokim zrozumieniem napisany, że powinien trafić do wypisów geograficznych. Kombinacje linii i grup domostw zjawiają się zdala od dolin rzecznych (to idzie ręka w rękę z lepszym biciem studzien) i nawet wkraczają na grzbiety górskie. Ulepszona technika budowlana z zastosowaniem żelaza do wzmocnienia wiązań dachowych pozwala nie obawiać się silnych wiatrów na grzbiecie górskich. Jeszcze te zmiany są świeże, jeszcze na psychikę nie mogły wywrzeć głębszego wpływu, ale i tego oczekiwać należy.

Wynagrodzenie najemnika wzrasta; analiza tego zjawiska wraz z przyczynami i następstwami jest niezmiernie cenna, bo autor nawet uogólnienia już dawniej znane wyprowadza samodzielnie na podstawie szczegółowych badań nad Wielopolką (str. 360—4).

(CDN)

A. Sujkowski.





Przebieg pogody w m. Lipcu 1911 roku.

Sprawozdanie Wydziału Meteorologicznego P. T. K.

Ciepły, słoneczny i bardzo suchy lipiec tegoroczny był nader dogodny do wycieczek po kraju i willegiatury, natomiast wśród rolników nadzwyczajna susza, w miarę przedłużania się zaczęła budzić poważne troski. Wszelako zdarzały się i dnie względnie chłodne, jak 6, 11 i 17 lipca, kiedy temperatury spadały w nocy do niezwykle niskiej, jak na tę porę roku, bo do 4 stopni C. Dopiero od 23 lipca datuje się stały okres upalny, który przetrwał do końca miesiąca, przyczem temperatury maximum dochodziły w cieniu do 30—34 stopni C. w dniach od 23 do 28 lipca. Średnie temperatury miesięczne wahały się koło 17,5 stopni C. i były nieco niższe od normalnych, co pozostaje w związku ze względnie chłodnymi nocami.

Długość usłonecznienia wypadła zato dość znaczna, np. w Warszawie wyniosła 284 godziny, t. j. o 34 godziny więcej, niż średnio w latach ostatnich.

Wyjąwszy dzień 9 lipca i poczęści 18, które miały charakter dżdżysty, deszcze przychodziły przeważnie z burzami i, będąc mniej lub więcej obfite, trwały krótko. Szczególniej sucha była druga połowa miesiąca. Średnia wysokość opadów była 34 mm. w 8 dniach opadowych i nie dorównywała nawet połowie średniej wysokości wieloletniej. Rozkład opadów w kraju był dość równomierny. Obfite opady nawiedziły Suwalskie, Łomżyńskie i część Lubelskiego, natomiast zachodnie części Kałiskiego i południowe części Kieleckiego szczególnie ucierpiały od suszy.

Wiatry wiały przeważnie słabo i były zmienne co do kierunku. Dopiero w końcu miesiąca ustalił się orzeźwiający wiatr wschodni, który łagodził upał, ale jednocześnie przyczyniał się do większego osuszania gruntu i wód.

Dane z poszczególnych stacji P. T. K. są zamieszczone niżej.

a) Temperatura:

Nowa Słupia. Temp. średnia 18,7 stop. C., Temp. max. 31,7 stopni dnia 24; Temp. min. 7,02 dnia 11.

b) Opady: Wysokości w mm. Liczba dni.

Bieliny (p. kielecki)	32	10
Św. Krzyż („ „)	30	8
Nowa Słupia („ „)	32	8
Suchedniów („ „)	30	11
Jędrzejów (p. jędrzejowski)	22	5
Wysokie (p. krasnostawski)	59	10

c) Długość usłonecznienia Jędrzejów—298 godzin.

□□□□□□□□□□

Z piśmiennictwa.

Wybornie prowadzony „Kwartalnik Litewski” daje w tomie V (I za rok bieżący) nową wiązkę prac ciekawych i sumiennych. Rozpoczyna artykuł red. J. Obsta „O konserwatystach i... konserwatystach”, dr. Wł. Zahorski daje wyborne studium „Kościół św. Michała i klasztor panien Bernardynek w Wilnie”, p. Ant. Prochaska „Wyprawę na Smoleńsk”, rzecz opartą na listach kanclerza litewskiego Jana Sapiehy z r. 1609—11, p. W. Ciechowski kończy większą pracę „Czasopisma polskie na Litwie” kończą się również barwne i żywe wspomnienia Leona Potockiego (Kamertona) o Świsłoczy, Dereczynie i Różanie, podane przez pana Michała Fedorowskiego. „Pamiętki polskie w Ces. Ermitażu w Petersburgu” opisuje wyczerpująco p. Bohdan Puljanowski (posążek Augusta II z kości słoniowej, złoty kałamarz ofiarowany przez Stan. Augusta ces. Katarzynie, gładka łyżka w stylu ruskim ofiarowana odwrotnie przez Katarzynę Stanisław. Augustowi, popiersie rzeźbione z bursztynu Stan. Leszczyńskiego, pedometr W. ks. Konstantego). Dopełniają całości „Herby miast litewskich” p. Tad. Dmochowskiego i drobniejsze przyczynki pp. Gozdawy, Szukiewicza, Brenszteina i Bułhaka.

□□□□□□□□□□

Kronika krajoznawcza.

Jak donoszą nam z Sopot, utworzono tam 22 czerwca r. b. sklep z towarami kolonialnymi, galanterią i zelaństwem pod firmą „Kupiec” tow. z ogr. poręką. Położony na rogu ul. Pomorskiej i „Taubenwasserweg” (za torem kolejowym) na przecięciu zatem dwóch gościńców z Chwoszczyna i W. Kaczek, sklep ten obliczony jest przeważnie na ludność kaszubską, stanowiącą, jak wiadomo, 25—30 procent ogółu mieszkańców Sopot. Względnie dość znaczna odległość od brzegu zmusi też zapewne nowe przedsiębiorstwo do oparcia się w tej przedewszystkiem sferze klienteli i nie rachowania na gości kąpielowych—zbyt odległych i zbyt obojętnych. Dość już na tem, że okoliczni kramarze i właściciele sklepików przemówili na widok nowego konkurenta nagle po polsku, przypominając sobie, że nie są Niemcami.

TREŚĆ: S. Matusiak.—Soboty i sobótki; Witold Kamieniecki.—Włość Lebiezdziowska, (z 1 ryc.); W. F.—W Beskidy Wschodnie, (z 5 ryc.); G. Smólski.—Z podróży na Pomorze, (z 1 ryc.); A. Sujkowski.—Stan wsi polskiej na Podkarpaciu—Przebieg pogody w m. Lipcu 1911 roku.—Z piśmiennictwa.—Kronika krajoznawcza.

Poza tekstem: Stara cerkiewka w Czortkowie. Z naszych krajobrazów. 33. Jodły na Łysogórach.

Winiętę tytułową i ozdoby w tekście rysował Mikołaj Wisznicki.—Odbito w tłoczni Piotra Laskauera.—Składał i zamał Edward Gzik.—Odbijał na maszynie Aleksander Grzegolowski.—Kilse wykonane w zakładzie B. Wierzbickiego i S-ki.—Papier krajowy z fabryki A. Moesa w Pilicy.

Redaktor i Wydawca Kazimierz Kulwiec